

## Literacka inwazja

**Polacy, którzy piszą po niemiecku, podobają się Niemcom bardziej, niż Polakom Polacy piszący po polsku. Taki to wniosek można wysnuć, przeglądając (niemieckie) recenzje z najnowszych powieści Radka Knappa, Dariusza Muszera i Artura Beckera.**

Wszyscy ci trzej autorzy urodzili się w latach sześćdziesiątych w Polsce (Knapp w Warszawie, Becker w mazurskich Bartoszycach, Muszer gdzieś w Poznańskim), wszyscy trzej wyemigrowali (Knapp w 1976 do Wiednia, Muszer i Becker w następnej dekadzie do Niemiec), wszyscy też postanowili zostać po prostu pisarzami niemieckimi, odnosząc w tej mierze sukces, jakiego (zacytujmy Martę Kijowską:) nie było od czasów Przybyszewskiego. Sukces tym większy, że jako pisarze niemieccy znaleźli się poza obszarem zainteresowań polskiej machiny promocyjnej i podczas ubiegłorocznych targów we Frankfurcie nikt o nich nie usłyszał.

### **Knapp zadebiutował w roku 1994**

zbiorem opowiadań „Franio”, za który otrzymał nagrodę literacką „Aspektów”, zaś Marcel Reich-Ranicki (ten sam, który jednym machnięciem ręki zbył Tulli, Stasiuka i Tokarczuk) pochwalił tę książkę w swoim telewizyjnym „Kwartecie” za „humor, figlarność i dowcip” (ten komplement pojawia się w niemal wszystkich artykułach o Knappie, więc i ja go niniejszym przytaczam).

Rozpatrywany w kontekście polskiej literatury emigracyjnej byłby „Franio” pozycją bardzo nietypową (i pewnie dlatego jego polski przekład został praktycznie zignorowany przez recenzentów): „bohaterem” składających się nań utworów jest podwarszawski Anin (w miejscowości tej pisarz się wychował i do dziś spędza tam wakacje), zaludniony przez kilkanaście opisanych z dobroduszną ironią postaci, wiodących swoje nieco groteskowe –

zabawne i wzruszające – potyczki z Losem (a niekiedy też z najzupełniej realnym Szatanem).

Krytycy zgodnie podkreślają „czeskość” opowiadań Knappa, zauważając też podobieństwa do twórczości Roberta Walsera; ja ze swej strony dodałbym tu opowiadania (zwłaszcza te przedwojenne) Michała Choromańskiego. Dołączając do grona piewców „sympatycznej prowincji”, potrafi autor „Frania”, z pomocą umiejętnie dozowanej metafizyki i mikrosocjologii, stwarzać aurę drażniącej moralny zmysł czytelnika niejednoznaczności, która chwilami przeobraża się w autentyczną (aczkolwiek traktowaną z przymrużeniem oka) niesamowitość. Przede wszystkim jednak książka ta realizuje ideał niemieckiej *gemütlichkeit* – jest pod każdym względem urocza i bezpretensjonalna.

Kolejny utwór, powieść „Herrn Kukas Empfehlungen” (co można przetłumaczyć jako „Zalecenia pana Kuki”; 1999) postanowił Knapp poświęcić swemu drugiemu „rodzinnemu miastu”, Wiedniowi. Niestety, doznał przy tej okazji „emigranckiego ukąszenia”, które sprawiło, że znana z „Frania” świeżość wyobraźni ustąpiła tu miejsca konwencjonalnej bajce o chłopcu, którego przygody są do przewidzenia.

Zdaniem niemieckich krytyków „Empfehlungen” to *Schelmenroman*, czyli powieść łotrzykowska. Jakież tam jednak łotrzyk z tego Waldemara (tak ma na imię główny bohater, chłopiec z dobrej, polskiej rodziny, w wieku wczesnostudenckim), który tyle że pragnie, wzorem swoich licznych koleżanek i kolegów, zobaczyć „mityczny Zachód” i zarobić tam trochę pieniędzy?... Żaden łotrzyk, raczej archetypiczny biedaczek (*Simplicissimus*), mający wiecznie szczęście w nieszczęściu, co też nas raczej nudzi, niż cieszy. Co za przygody przeżywa on w owym Wiedniu, poleconym mu przez (nader wyświechtana literacko postać) globtrottera i alkoholika, pana Kukę? Otóż najpierw sypia w „Hotelu Czterech Pór Roku” (czyli w parku) i trochę zwiedza (kościół, kawiarnie – wiadomo: Wiedeń). Potem zostaje oszukany przez nierzetelnego

pracodawcę i omal nie trafia do aresztu, ale w ostatniej chwili chowa się za drzewo, dzięki czemu poznaje fajnego kolegę, który załatwia mu fajną pracę i mieszkanie, a nawet funduje polską prostytutkę na urodziny. I tak dalej, aż do momentu, kiedy nasz bohater łąduje z kochanką swojego szefa w parkowej fontannie.

Proszę wybaczyć to z grubsza ciosane streszczenie, ale cała powieść jest (trudno powiedzieć czemu) wyraźnie pozbawiona „głębszych znaczeń”. Wiedeń Knappa nie okazuje się niczym ciekawszym niż opowieść pana Kuki o tym, jak przy grobie Chopina niechcący wdepnął w gówno. W dodatku cierpi na tym narracja: zamiast finezyjnych puent z „Francia” mamy tu zaledwie atrakcyjne fabularnie puenty poszczególnych rozdziałów, co wobec nieatrakcyjności opowiadanej historii smakuje jak cienki kompot do cienkiego barszczu. Jedyne, czego możemy autorowi życzyć, to żeby nie słuchał pana Kuki i wrócił do Anina...

W przeciwieństwie do Knappa,

#### **Muszer początkowo próbował sił**

jako pisarz polski. Przed wyjazdem do Hanoweru wydał w kraju kilka tomików wierszy, wygrał też kilka konkursów; potem, już w Niemczech, napisał po polsku kilka powieści, które jednak nie spotkały się z zainteresowaniem polskich wydawców, i chyba słusznie (piszę to, bo sam czytałem dwie z nich w maszynopisie i nie byłem zbyt zachwycony perspektywą przygotowywania ich do druku). Tym większym zaskoczeniem jest jego niemiecki debiut, powieść „Die Freiheit riecht die Vanille” („Wolność pachnie wanilią”, 1999) – rzecz spójna, napisana dosadnym, acz klarownym językiem i na dodatek wprowadzająca trochę świeżego (a raczej: prowokacyjnie smrodliwego) powietrza do zatechłej kapliczki, jaką jest „nasza literatura na Obczyźnie”.

Muszer postanowił rozdrażnić wszystkich i zrobił to w sposób wszystkich zadowalający. Niemieccy krytycy są zachwyceni: wreszcie ktoś nie zostawił na Niemcach suchej nitki, dał im nieźle popalić, zaspokoił ich jakże długo i w utajeniu żywione masochistyczne potrzeby.

Porównują Muszera do Grassa, co nam się oczywiście wydaje niepodobieństwem, bo przecież nasz Grass to Chwin (ale też, bądźmy szczerzy, taki z Chwina Grass, jak i z Muszera – *toutes proportions gardées*). Tymczasem Muszer wcale nie krytykuje Niemiec, on się z nich może czasami naśmiewa (jak kiedyś z upodobaniem używa historycznie obciążonego słowa *Lager* na określenie obozu dla przesiedleńców, do którego bohater powieści zmierza jak Odys do swojej Itaki), ale też na swój sposób je lubi.

Rzecz krytykowaną – i to z niebывałym impetem – jest tu bezsens Historii, spoczywającej na naszych – polskich i niemieckich – karkach niczym bezlitosne jarzmo, które sprawia, iż każdy, kto rodzi się po prawej lub lewej stronie Odry, jest osobnikiem potencjalnie napiętnowanym. Dążenie do „likwidacji Historii” zyskuje u Muszera wymiar metaforyczny. Knappowski Waldemar zaledwie aspirował do roli „łotrzyka”, za to Muszerowski Naletnik nazwać musimy „niezłym szelmą”: wnuk zbrodniarza wojennego, syn dzieciobójczyni, zostawia żonę (Żydówkę) w ciąży bez środków do życia, by zostać „prawdziwym Niemcem”, a gdy ta w końcu odnajduje go – zabija ją i dzieci w sposób iście bestialski (tzn. tak, jak się zadusza małe koty w kojcu).

Z początku wydaje się, że to zwykłe epatowanie makabrą, ale chodzi tu przecież o walkę (bohatera) z ideą Rodziny, co na planie ogólniejszym reprezentuje zmagania (Muszera) z widmem Zbiorowej Pamięci, Dziedzictwa Narodowego i innych szlachetnych Ciągłości, z którymi nasza Ojczyzna prezentuje się, jak matka Naletnika (zgwalcona dziwka) ze swoimi niechcianymi ciążami. To oczywiście potworne, co mówi nam Muszer, ale niemniej potworne było to, że nikt nam tego wcześniej przez tyle lat nie mówił. A tak swoją drogą, cóż oni tak szastają tym swoim jedynym Grassem. Ja np. nie nazwałbym nigdy Muszera „nowym Gombrowiczem”, już choćby dlatego, że Gombrowicz robił w wielkim stylu to, co Muszer załatwia po szelmowsku i zza winkła.

### **Co innego Becker.**

Ten każe nam się napawać specyficznym zapachem „duszy polskiej”, zamkniętej w ciele wujka Mirosława, głównego protagonisty powieści „Onkel Jimmy, die Indianer ind ich” (2001; „Jimmy” to, jak się okazuje, angielska wersja imienia „Mirosław”).

Jeżeli Muszer uczynił fabularną tkanę swojego dzieła na wzór serialu brazylijskiego (wszyscy jesteśmy ze sobą spokrewnieni, wszyscy jesteśmy Europejczykami, każdy z nas ma dziadka ze strony matki, który zamordował dziadka ze strony ojca, bo tak chciała Historia), to Becker zrobił coś w rodzaju komedii slapstickowej (tacy „lepsi Kiepcy”) z wujkiem w roli Binga Cosby’ego *à rebours*.

Wujek jest zabawny, żaloszny, obrzydliwy i sympatyczny, reprezentuje typ drobnego kombinatora, oportunisty, mąciwody i moczymordy, a jednak narrator, Teofil (przypominający jako żywo znanego nam Waldemara) kocha go ponad wszystko i towarzyszy mu wiernie „na kanadyjskim

bruku”, pośród Indian, którzy jako jedyni okazują się dość naiwni, by się z wujkiem sprzymierzyć (Indianie pełnią w utworze funkcję dwuznaczną: z jednej strony stanowią rzeczywisty „margines społeczeństwa”: leniwi i pozbawieni jakiegokolwiek twórczej inicjatywy; z drugiej – zostali przecież we własnej ojczyźnie zepchnięci do roli pariasów, a więc są niczym nasze własne odbicie w zwierciadle Atlantyku). Dlaczego Teofil kocha wujka? W finale powieści wychodzi na jaw, że wujek tak naprawdę jest jego ojcem (matka Teofila źle się prowadziła, kolejna wyrodna matka w naszym zestawie).

Ale to nie wszystko. Wujek to kwintesencja Polaka i Teofil, jako również Polak, zmuszony jest go kochać siłą rzeczy, bezwarunkowo, taki los. Dość gorzka prawda jak na tak śmieszna powieść, ale też wystarczająco gorzka, żeby ją uznać za całkiem niezłą.

**Adam Wiedemann**